

MAREK ADAMIEC

TAJEMNICA LORDA SINGELWORTH  
ALBO METAFIZYKA BALONU

„Symbol daje do myślenia” – ta urzekająca mnie sentencja mówi dwie rzeczy: symbol daje, sens nie jest więc ustanowiony przeze mnie, lecz dany jest przez symbol – atoli to, co daje, jest wszak „do myślenia”, i to niemałego. W oparciu o dar – ustanowienie. Sentencja ta sugeruje jednocześnie, że wszystko już zostało powiedziane zagadkowo i że wszystko wszakże trzeba zawsze odtwarzać i przetwarzać w wymiarze myślenia. Jak kształtuje się myśl, ta, która sama jest dana sobie w królestwie symboli, i ta, która coś ustanawia i myśli – to właśnie chciałbym podpatrzeć i zrozumieć.

P. Ricoeur. „Symbol daje do myślenia”<sup>1</sup>

## 1. TAJEMNICZY DŻENTELMEN – CZYLI DWUGŁOWE CIEŁE

W r. 1897 w związku ze śmiercią Józefa Ignacego Kraszewskiego Aleksander Świętochowski pisał w *Rozmyślaniach nadgrobnych*:

Cała Europa brzmi sławą Sardou, a za lat pięćdziesiąt nikt o nim wiedzieć nie będzie. Gdy zdechł niedawno koń wyścigowy, Kinczem, rozesłano telegramy o jego śmierci do najdalszych kątów cywilizowanego świata, gdy przedtem zmarł w Londynie słynny dżokej, prasa pomieszczała jego życiorys, a książkita przepłacali na licytacji po nim pamiątki. Tymczasem gdyby zmarł (niech najdłużej żyje!) Prus, wiadomość o jego zgonie nie dotarłaby nawet do Katowic<sup>2</sup>.

Nie chodzi tu tylko o problem „zaściankowości” literatury polskiej, której rodzimi czytelnicy przyznawali status – szczególnie w konfrontacji z piśmiennictwem francuskim – nader ubogiego krewnego: Prus nie mógł konkurować z

<sup>1</sup> P. Ricoeur. „Symbol daje do myślenia”. Przełożył S. Cichowicz. W: tenże. *Egzystencja i hermeneutyka. Rozprawy o metodzie*. Wybór, opracowanie i posłowie S. Cichowicza. Warszawa 1975 s. 8.

<sup>2</sup> A. Świętochowski. *Rozmyślania nadgrobnne*. W: tenże. *Wybór pism krytycznoliterackich*. Wyboru dokonał S. Sandler. Wstęp i przypisy M. Brykalska. Warszawa 1973 s. 264.

popularnością Balzaca czy Dumasów, a utwory Perzyńskiego lub Bałuckiego nie przyciągały tyle publiczności co komedia bulwarowa znad Sekwany. Godny Kaliguli kult konia wyścigowego czy zaliczenie w poczet bohaterów znakomitego dżokeja to elementy procesu wykraczającego znacznie poza sferę życia literackiego. Kunsztowną demaskacją tego procesu jest także pochodząca z r. 1883 Norwidowska „nowela”, utwór artystyczny nie mający nic wspólnego z publicystyką. Tekst ten stawia przed odbiorcą szczególne wymagania, właśnie po to, by ustrzec go m.in. przed aktem pogańskiej zaiste deifikacji konia. Aliści czy nie mamy tu do czynienia ze świadectwem przecenienia funkcji literatury – nie jestem o tym przekonany. Także i tę wątpliwość rozstrzygnąć może tylko uważna lektura utworu. Jego struktura przysporzyć może nie lada trudności czytelnikowi polskiemu, który znalazł się w kłopotcie chociażby zetknąwszy się w r. 1898 z *Żywotem i myślami Zygmunta Podfilipskiego* Józefa Weysenhoffa.

Tytuł *Tajemnica lorda Singelworth* nie był w żadnym wypadku dla czytelnika XIX-wiecznego formułą neutralną. Wyraźnie sygnalizował określony typ literatury, kształtował oczekiwania odbiorcy. Ekspozowane na pierwszym miejscu słowo „tajemnica” – przez analogię do *Tajemnic Paryża*, *Tajemnic zamczyska Udolpho*, *Tajemnicy Marii Rogôt*, wreszcie *Barbary Ubryk* czyli *tajemnic klasztoru* – pozwalało spodziewać się opowieści sensacyjnej. I to opowieści sensacyjnej z życia „wyższych sfer”; mało tego, można się było spodziewać, że mowa tu będzie o przedstawicielu arystokracji wyjątkowej, surowo strzegącej swoich przywilejów i czystości krwi. Może nawet historii równie frapującej jak *Człowiek śmiechu* Wiktora Hugo – czyli tragiczne dzieje przerażającego Gwynplaine'a, w rzeczywistości porwanego za młodu przez zbrodniczą szajkę comprachicos lorda Fermain Clancharlie, barona Clancharlie i Hunkerville, margrabiego Corleone na Sycylii, pełnoprawnego para Anglii. Bez względu na to, jakiej „tajemnicy” zdemaskowanie gwarantuje tytuł Norwidowskiego utworu, dotyczyć ona będzie osoby o nietuzinkowym statusie społecznym. Wszak Wiktor Hugo zgromadził w swojej powieści stare dokumenty, zawierające przywileje arystokracji angielskiej, czytamy tam m.in.:

Nie-szlachcicowi, który by uderzył lorda, kat ucina dłoń.

Lord jest prawie królem.

Król jest prawie Bogiem.

Ziemia jest lordostwem.

Anglicy mówią do Boga: „Milordzie”<sup>3</sup>.

Jeżeli nawet w 2. poł. XIX w. wyraźnie postępował proces degradacji ekonomicznej arystokracji, znacznej liberalizacji poddane zostało konserwatywne prawo angielskie, to nie znaczy bynajmniej, iż tytuł lorda utracił cokolwiek ze swej

<sup>3</sup> W. Hugo, *Człowiek śmiechu*. Tłumaczyła H. Szumańska-Grossowa. T. I. Warszawa 1953 s. 31.

atrakcyjności. Godność ta cieszyła się szacunkiem w Europie chociażby dzięki temu, że – w odróżnieniu od praktyk dworu austro-węgierskiego czy carskiego – nie można było jej kupić, przeto gwarantowała czystą błękitną krew. Jej posiadaczowi, prócz skłonności do spleenu, dumnej wyniosłości i lakonicznego sposobu wyrażania się, przyznawano powszechnie przywilej posiadania oryginalnych upodobań, gustów i przyzwyczajęń, graniczących często ze skandalem – biografie lorda George’a Gordona Noela Byrona czy lorda Oskara Fingala O’Flahertie Wills Wilde’a są tu godnymi ilustracjami. Ich naśladowanie (możliwe dzięki uważnej lekturze kronik towarzyskich) należało do dobrego tonu wśród arystokracji o karłowatym drzewie genealogicznym; ujawnianie mniej lub bardziej prawdziwych sekretów pochodzenia, alkowy bądź też tragedii rodzinnych nęciło i autorów, i czytelników opowieści z życia arystokracji. Było to niewyczerpane źródło sensacji, a jednocześnie szansa obcowania z przedstawicielami wielkiego świata aż po poznanie nazwiska krawca dostarczającego bieliznę.

W żadnym wypadku nie są to asocjacje nieuzasadnione. Norwidowska „nowela”, przynajmniej częściowo, usiłuje sprostać tym oczekiwaniom. Takie wrażenie odnieść może czytelnik. Narracja pierwszoosobowa i zadeklarowana poetyka „spomnienia” gwarantują „źródłowy” charakter relacji – informacje wszak pochodzą wprost od naocznego świadka, znajdującego się w samym centrum wydarzeń; zatem żaden z niedostępnych dla osób postronnych szczegółów nie zostanie pominięty. Występujący tu lord istotnie posiada nader oryginalny, a co za tym idzie – zagadkowy zwyczaj. Wydarzenia rozgrywają się w mieście wyjątkowo pięknym i frapującym – w Wenecji. Uczestniczą w nich przedstawiciele doprawdy znakomitego towarzystwa; obok anonimowego narratora (anonimowość bynajmniej nie świadczy o jego nikczemnym pochodzeniu, kto wie, czy nie jest wręcz przeciwnie) pojawiają się: „hrabia Antonio della Brenta”, „kawaler di San Luca”, „wzięty wenecki doktor”, wreszcie „D\*\*\*” – noszący „wielkie weneckie nazwisko”. Samo zachowanie lorda budziło zaciekawienie w całym cywilizowanym świecie:

[...] czy to nad lekkimi Kairu albo Konstantynopola minaretami balon jego wznosił się, czy nad złotymi i ciężkimi kopułami Moskwy, czy nad Wiednia lub Paryża mrowiem, wszędzie i zawsze, z wyjątkiem dni zabawom publicznym poświęconych, dościgany był powietrzny podróżnik to głębokim domysłem, to bystrym dowcipem, to nareszcie trywialną anegdotą. Pociski te jednakże obijały się ostatecznie o drzwi twarde zamkniętej tajemnicy (s. 148)<sup>4</sup>.

<sup>4</sup> Tekst *Tajemnicy lorda Singelworth* cytowany według wydania: C. Norwid. *Pisma wszystkie*. Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył J. W. Gomułicki. T. 6: *Proza. Część pierwsza*, Warszawa 1971 s. 145–162 (dalej cyt. PWSz z odesłaniem do odpowiedniego tomu; pierwsza liczba oznacza tom, druga – stronę).

Z tą tajemnicą zmagало się nie tylko grono gawiedzi, także najtęższe umysły Europy nie mogły pozostać wobec niej obojętne. Wypowiadali się w tej sprawie i „felietonista któryś w Paryżu”, i „niemiecki jeden profesor w Heidelbergu”. Powszechne zainteresowanie nie miało nic wspólnego z ciekawością, o tym – obok felietonów i poważnych dysertacji – najdobitniej świadczy to, że:

[...] gubernator Odessy, generał Kutasów, który równoległe i równocześnie do podniesienia się balonu Lorda wysłał był utwierdzony na linach balon rządu, ze sobą unoszący bystrego policmajstra i przysięgłego adiunkta z obserwatorium, uzbrojonego mocnymi lunetami – zatwierdził był podobno w swoim raporcie, iż we wycieczkach wiadomych nie ma nic zagrażającego stanowi rzeczy. Ze z jak nie bądź staranną delikatnością wnoszone do balonowego kosza puźdro nie zawiera przecież przez to samo prochu-strzelniczego ani żadnej materii palnej, lecz że obejmować się zdaje sprzęt cenny a łomliwy, jakby np. etruską okrągłą wagę, albo porcelanową. I że wszystko, co adiunkt obserwatorium najstaranniej przez lunety dociekał, odnosić się zdawa do najosobistszych, lubo oryginalnych, Lorda obyczajów (s. 149).

Tak poważnemu przedstawicielowi władzy jak carski gubernator nie sposób postawić zarzutu, że zajmuje się błahostkami czy ulega nie sprawdzonym pogłoskom; inaczej i szczegółowe śledztwo, i precyzyjny raport byłyby nonsensem. Rzec została zbadana przezeń w sposób naukowy i policyjny, z wykorzystaniem najdoskonalszego chyba w XIX w. aparatu śledczego. Atoli „tajemnica” pozostała tajemnicą.

Zatem nic dziwnego, że pojawienie się w Wenecji lorda Singelworth zelektryzowało zgromadzone tam znakomite towarzystwo. I ostatecznie zagadka frapująca cały cywilizowany świat została wyjaśniona przez jej głównego bohatera. Do jakiego stopnia członkowie prześwietnej deputacji poczuli się usatysfakcjonowani udzielonym przezeń wyjaśnieniem, nic o tym nie wiadomo, arystokracji wszak nie wypada manifestować swoich uczuć ani tym bardziej wątpić w prawdomówność lorda. Rychło też – mimo prób zaprezentowania zwyczajów lorda w kategoriach patetycznych, podjętych przez „improvizatora publicznego”, sprawa balonu lorda Singelworth została usunięta w cień przez doroczny wenecki karnawał.

Czytelnik oczekujący – zgodnie z sugestiami tytułu opowieści – sensacji na miarę „Żelaznej Maski” czy chociaż opisu eksperymentów z metalem lżejszym od powietrza – doznaje nie lada zawodu; ma nawet pełne prawo podejrzewać, iż – sit venia verbo – zrobiono zeń balona.

Zirytowany Piotr Chmielowski pisał w swej recenzji z numeru „Chimery”, w którym zamieszczono „wydobyte z pośmiertnej teki papiery Cypriana Norwi-da”:

Wydrukowanie [...] *Tajemnicy lorda Singelworth* [...] dowiodło raz jeszcze, że bałwochwalstwo „sztuczności” jest zaraźliwe, że się szerzy nawet wśród najrozważniejszych, przytępiając poczucie smaku i zacierając jasność sądu. Rozpatrywanie papierków klozetowych pod kątem wieczności dla uwydatnienia nierozzerwalnej jedni bytu jest zajęciem godnym chyba tak lekce-

ważonych przez Miriama dekadentów i może odstręczyć od sztuki ludzi, którzy naprawdę kochają wielką sztukę, ale nie cierpią „sztuczności”, kabotyństwa, przebiegającego się w szaty hieratyczne, tak samo jak nie cierpią kabotyństwa błazeńskiego i łobuzowskiego<sup>5</sup>.

Konsekwentnie niechętny wobec twórczości Norwida<sup>6</sup> autor *Dziejów krytyki literackiej w Polsce* dał upust swemu oburzeniu, pisał jako miłośnik sztuki, człowiek urażony w swym elementarnym poczuciu przyzwoitości i dobrego smaku. Aliści jednocześnie ujawnia się jako czytelnik, który rozminął się całkowicie z tekstem: nigdzie nie zostało powiedziane wprost, że biały papier, poddawany wnikliwej analizie, był istotnie „papierkiem klozetowym”. Więcej nawet, żadna z wątpliwości, która pojawić się może w trakcie lektury, nie została przez narratora rozstrzygnięta ostatecznie. Żadna „tajemnica” nie została tu wyjaśniona, nie wiadomo nawet, czy jakakolwiek tajemnica związana z lordem Singelworth istniała, czy nie została po prostu wymyślona przez znakomite towarzystwo.

Nie należy się dziwić irytacji Chmielowskiego. To uczucie udzielić się może także czytelnikowi znacznie bardziej tolerancyjnemu wobec twórczości autora *Vade-mecum*. Lektura opowieści o „awanturze weneckiej” stawia pod znakiem zapytania jej... sensowność; na pewno nie ma dla niej miejsca wewnątrz konwencji sugerowanej przez tytuł i niektóre elementy struktury tekstu.

## 2. JĘZYK U-LORDZONY

Pojawiający się u Chmielowskiego zarzut „kabotyństwa” nie jest pozbawiony słuszności; język, którym posługuje się narrator, sprawia dość osobliwe wrażenie.

Opowieść rozpoczyna się od podania w wątpliwość samej tożsamości tytułowego bohatera:

Czy rzeczywiście były jakie ziemie Singelworth we ważności baronii nadane przodkowi w linii prostej męża, o którym te moje wspomnienie spisuję? I czy przeto ceremoniali ekscelencji lub lorda tytuł były komu ze Singelworthów na potomność przyznane? Czy zatem, gdy takowy do uniwersytetu w Oxford lub w Edynburgu wstępował, przyjmował go był rektor i profesoro- wie, mówiąc: „*Domine Singelworth?*” – czy następnie brał on udział w parlamencie? – zasługi położył – ożenił się z damą równie świetnego pochodzenia jak blask jej włosów blond, dzieci miał z nią, i umarł?... (s. 147).

Narrator jest doskonale obeznany z przywilejami i obowiązkami, które wiązały się z godnością lorda. I właśnie ta dokładna znajomość niuansów życia społecznego pozwala mu na dyskretne acz metodyczne podważanie autentyczności ty-

<sup>5</sup> P. Chmielowski. [rec. „Chimery”]. „Pamiętnik Literacki” 3:1904 t. 3 s. 337.

<sup>6</sup> Por. P. Chmielowski]. *Informacyjna kronika czasopism*. „Niwa” 3:1874 t. 6 s. 576, gdzie przy okazji omawiania rozprawy pt. *Sfinks* Norwid został określony jako: „[...] znany z ciemnych wierszy poeta, autor niezrozumiałych studiów nad Słowackim [...]”.

tułu „męża”, któremu swe „spomnienia” poświęcił. Posuwa się nawet do dość szokującego przypuszczenia:

Czyli raczej Singelworthowie byli zacynymi właścicielami rękodzielni wyrabiających perkaliki albo rzeczy cynowe i stalne?... (s. 147).

Atoli nawet w tym przypadku wyraża się z całą rewerencją, posłużwszy się peryfrazą w funkcji eufemizmu, unika tak prozaicznych – chciałoby się rzec: poziomych – wyrażań, jak: „cynowe talerze” czy „stalowe gwoździe”. Stara się nawet oddalić to podejrzenie, tyle że w tym celu posługuje się argumentem nader dwuznacznym:

[...] we wszystkich wielkich hotelach Europy i Wschodu mówiło się powszechnie „Lord Singelworth” – i [...] tak brzmiało jeszcze przed samymże przybyciem osobistości podróżnego, którego uprzedzał zwykle *major-domo* i aeronauta z pomocnikami i z przyborem do puszczenia balonu (s. 147).

Niczym nieprzystępny lord Wilmore – jedno z wcieleń hrabiego Monte Christo (resp. Edmunda Dantesa) – lord Singelworth zapewnia sobie wysoką pozycję społeczną dzięki oryginalnemu zachowaniu, ale przede wszystkim dzięki temu, że hojnie rozdaje napiwki służbie hotelowej (tak właśnie sugeruje – niezbyt stosownie – narrator). Piszący „spomnienia” nie wypowiada się w tej kwestii wprost, ale swojego bohatera ukazuje w co najmniej dwuznacznym świetle. Nieustannie posługuje się niedomówieniami i subtelnymi wieloznacznikami – a tego typu sposób porozumiewania się był charakterystyczny dla osób należących do znakomitego towarzystwa. Mamy przeto do czynienia z popisem wirtuozyjskiego języka arystokracji. Można odnieść wrażenie, że to właśnie narrator jest autentycznym przedstawicielem tego środowiska – i to tylko ze względu na sposób jego mówienia (anonimowość, szczególnie zważywszy na fakt, iż właściciel „wielkiego weneckiego nazwiska” został ujawniony dzięki inicjałowi, nabiera tu szczególnej pikanterii – miałooby to być nazwisko jeszcze „większe”?). Zdemaskowanie ewentualnego uzurpatora nie wymagałoby szczególnego trudu, atoli w towarzystwie nie było zwyczaju weryfikowania tytułów i godności, zwłaszcza gdy potwierdzał je autorytet służby hotelowej. W dodatku taki czyn wzbudziłby zapewne niesmak w towarzystwie, a jednocześnie byłoby to niebezpieczny precedens. Godzi się przeto pozostać w kręgu niedomowień, sygnalizując w ten sposób własną wyższość – na dyskretne wątpliwości w tym przypadku może pozwolić sobie ktoś, kogo stanowisko jest co najmniej równe godności lorda.

Nawet wówczas, gdy zachowanie się lorda jest interpretowane w kategoriach „poziomych”, nikt nie pozwala sobie na niewłaściwą tonację wypowiedzi:

– Lord, chociażby nawet rzeczywiście miał jedynie na celu uregulowanie żołądka swojego przez

heroiczną a periodyczną zmianę atmosfery, nie zasługiwałby bynajmniej na pośmiech u pokornie i nieco głębiej zastanawiających się nad człowiekiem!... (s. 154).

To spostrzeżenie natury antropologicznej, wypowiedziane przez autorytet w dziedzinie medycyny, zostało natychmiast uzupełnione głęboką uwagą tyczącą geografii:

– Wyznać wszakże należy – mówił D\*\*\* – że są na globie miejsca tak bardzo niezdrowe z różnych powodów, iż owdzie nie byłoby wcale dziwactwem uregulować co dnia siłę trawienia w warunkach swobodniejszych, powracając przeto i silniejszym, i przytomniejszym (s. 155).

Nawet czysto fizjologiczna motywacja zachowania lorda Singelworth rozważana jest z całą powagą i szacunkiem, jakie należne są arystokracie. Język nie zostaje pozbawiony patosu nawet w „brukowej improwizacji [...] lubego di Bona Grazia” (s. 154). Natomiast zachowanie głównego bohatera w kulminacyjnym punkcie opowieści zostało przedstawione z niestychanym pietyzmem wobec jego gestykulacji:

[...] począł Lord z nieprzyspieszonym, ale nieco namiętym ruchem przecierać różowe kąty oka lewego i, z lekka kładąc rękę na ramieniu doktora di San Luca, rzekł:

– Ludzie nie są jeszcze czyści... Są dopiero perfumowani... (s. 160).

Wzmianka o „perfumowaniu” nikomu już nie powinna skojarzyć się z obiektem, który przysporzył wiele zachodu „nosom” policji Jego Cesarskiej Mości.

Istotnie, styl tych „spomnień” nosi na sobie piętno, które za Chmielowskim można by określić mianem „hieratyczności”. Otóż nadrzędną zasadą uporządkowania języka tego tekstu jest reguła *decorum*, tj. stosowności. Tytułowy bohater jest arystokratą, przynajmniej taki status przysługuje mu zgodnie z powszechnym przekonaniem, nie podważają tego ani wnikliwe badania gubernatora Odessy, ani dochodzenie wszczęte przez policję austriacką. Przeto jego osobie przysługuje – w sposób naturalny – głęboki szacunek. Nie tylko ze strony służby hotelowej, ale także ze strony ludzi należących do jego sfery. Nawet podważając autentyczność jego pochodzenia, nawet zniżając się w swoich hipotezach do poziomu fizjologii, wyrażają się w sposób jak najbardziej stosowny, godny rangi człowieka, o którym mówią. To właśnie godność lorda, nie zaś balon, wznosi „papierek klozetowy” na niebotyczne wyżyny. *Tajemnica lorda Singelworth* jest zatem świadectwem języka, którym posługiwano się w wypowiedziach o tajemniczym dżentelmenie, znajdującym się w centrum uwagi całego cywilizowanego świata, przynajmniej z wyjątkiem dni „zabawom publicznym poświęconych”. Wątpliwy lord Singelworth staje się realnym lordem przez fakt mówienia o nim jako o lordzie. Problem ten dotyczy także poszczególnych osób zabierających głos w jego sprawie: niewłaściwe odezwanie czy milczenie prowadzi

wprost do deklasacji. Doskonale zdaje sobie z tego sprawę narrator, który nie tylko podsuwa (nader trywialne) rozwiązanie sporu, ale przede wszystkim potwierdza swoją przynależność do doborowego grona:

Moje zachowanie się podczas sporu do tej doszłego doniosłości, że być mogło zbyt obojętnym i wyłącznym, uważałem za właściwe przynajmniej kilkoma stosownymi wyrazy wziąć mój udział. Wniostem przeto, iż rzecz sama przez się nie bardzo postąpiła, albowiem pozostawa pewne źródło posiąć, z którego by zakładowe strony dowiedziały się, kto wygrywa?...

Spostrzeżenie zanadto proste, ażeby wygodnym było dla tego, który je zrobił, obrócić więc na mnie obowiązek praktycznej rady pod tym względem. A dolegany pytaniami, co? i jak w tej mierze począć? – wniostem jeszcze, iż należy się po prostu odwołać do samegoż Lorda – że niemniej prostą rzeczą od nas, a przystępną dla Anglika, jest użyć ku temu delegacji od wszystkich opiniujących – tejeż zaś, jako umocnienie, dać to, iż zawiązał się cenny zakład (s. 155–156).

Zabierając głos w dyskusji narrator nie tylko poświadcza swoją przynależność do towarzystwa. Przede wszystkim przez udzielenie roztropnej rady – czego nie omieszkał gruntownie uświadomić czytelnikowi – staje się jego centralną postacią. Mimo tej uprzywilejowanej pozycji – *primus inter pares* – nie naraża się jak inni na poniesienie poważnej straty finansowej, będącej konsekwencją udziału w zakładzie. Jest obserwatorem, wszelako obserwatorem nader przemyślnym, zdolnym do tego, by – niczym Ulisses – wywieść swych towarzyszy z największych tarapatów. Subtelnie acz konsekwentnie manifestuje swoją wyższość nad członkami znakomitego grona, którzy zapewne – bez jego cennej rady – zabrnęliby w sytuację bez wyjścia. Retoryka (tj. bogaty repertuar tropów i figur stylistycznych, ale także wybór przez mówiącego właściwej roli, wreszcie zabranie głosu w najbardziej po temu stosownej chwili) jest tu narzędziem nobilitacji. „Spomnienie” to może być fragmentem pamiętników hrabiego, modnego artysty, jak i ubogiego rezydenta, a także dopuszczanego do znacznej poufałości... lokaja. Wszelako noblesse oblige, zatem czytelnik nie powinien wątpić w niepoślednie stanowisko społeczne narratora, człowieka z ironią mówiącego o lordzie Singelworth, udzielającego jakże rozropnej rady, a wreszcie odsłaniającego kulisy zakładu, jaki miał miejsce onegdaj w Wenecji.

Jeżeli tak ulotna i niepozorna w końcu rzecz jak balon zapewniła godne miejsce jego posiadaczowi w hierarchii całego cywilizowanego świata, to opowieść o tym wydarzeniu zapewnia poczesne miejsce w tej hierarchii samemu mówiącemu. Tak powinno być przynajmniej zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy. Istnieje wyraźna analogia między językiem *Tajemnicy lorda Singelworth* i językiem *Wyznań hochsztaplera Feliksa Krulla* Tomasza Manna – obydwaj narratorzy-bohaterowie mimowolnie kompromitują się przez przyjęty styl wypowiedzi, będący świadectwem mówienia ponad stan<sup>7</sup>. Narrator *Tajemnicy lorda Singelworth* nazbyt rygorystycznie przestrzega reguł stosowności,



obowiązujących w konwersacji arystokratycznej (przynajmniej w wersji uznawanej potocznie, a rozpowszechnianej przez „romanse”), by można uznać jego wypowiedź za autentyczną.

### 3. HERMENEUTYKA BIAŁEJ KARTY PAPIERU

Akcja *Tajemnicy lorda Singelworth* rozgrywa się w Wenecji. Jest to miejsce szczególne nie tylko ze względu na wspaniałą przeszłość, nie tylko dlatego, że tak często występowało na kartach utworów literackich (wystarczy tu wspomnieć chociażby Szekspirowskiego *Otella*). Niepoślednie znaczenie posiada także dzień dzisiejszy tego miasta<sup>8</sup>. Jego specyfikę poznajemy dzięki samemu narratrowi:

Plotek, we właściwym tej nazwy poziomej znaczeniu, być mogło w Wenecji więcej aniżeli w innym jakim mieście. Owoczesny despotyzm rządu obcego musiał mieć tę nierozłączną od siebie ostrożność, granic naturalnych nie mającą, która czyni, iż lada poszept, rosnąc szybko, nie spotyka także swych naturalnych granic, i że im bywa więcej uwstręconą wolność opinii jawnie i swobodnie wyrażanej, tym głębszej, donioślejszej i bardziej piorunnej siły nabierają przemilczenia, niedopowiedzenia, mgnienia powieki, chrząknięcia i kichnięcia!... (s. 148).

Atoli charakterystyka tego miejsca nie ogranicza się do ukazania jego wyjątkowo „plotkogennych” właściwości. Osobliwy był także doroczny karnawał, którego początek całkowicie usunął z pola zainteresowania i lorda Singelworth, i jego „tajemnicę”:

U mostu wysokiego – u Rialto – flagi wszystkich barw, chorągwie wszystkich wieków i ludów grały wstęgami w wietrze – małe maskaradowe okręta, wyłaczane nawy z różnych epok, galery pstre herbami, czarne gondole i rozmaite statki spotykały się tak nieraz żebrami boków swoich, iż suchą nogą mogłeś przejść przez całą kanału szerokość, tam i na powrót.

Wszystkich oczy w-igrane lub wlepione były w ten wir archeologicznego szału, który nie bez pobudek uwzględniła roztropna austriacka policja (podkr. moje – M. A.) (s. 161).

Zastanawiać musi ta pozytywna uwaga o policji okupanta, zastanawiać też musi nader eufemistyczne zasygnalizowanie obecności terroru i cenzury. Jest tak, jakby znakomity orator-pragmatyk czuł się zobowiązany – zgodnie z roztropną maksymą: „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek” – do wyrażenia swego

<sup>7</sup> Analizę procesu „mówienia ponad stan” w twórczości innego pisarza przeprowadza M. Głowiński – por. t e n ż e. *Straszny piątek w domu hrabiny*. (O „Biesiadzie u hrabiny Kotlubaj” Witolda Gombrowicza). W: *Prace ofiarowane Henrykowi Markiewiczowi*. Pod redakcją T. Weissa, Kraków–Wrocław 1984 s. 281–296.

<sup>8</sup> Sądzę, że całkowicie bezpłodna poznawczo jest zaproponowana przez J. W. Gomulickiego autobiograficzna interpretacja tego tekstu – por. np. *Metryki i objaśnienia*. W: PWSz t. 7: *Proza. Część druga*. Warszawa 1973 s. 542–546.

uznania dla siły dysponującej znacznie bardziej przekonującymi środkami perswazji niżli te, jakie były w jego zasięgu. Zważywszy zaś na znaczny dystans między czasem narracji a czasem zdarzeń przedstawionych, te pozornie nieistotne, nawet zbędne wzmianki, mogą w pozytywnym świetle przedstawić mówiącego w oczach i n e j policji.

Jednocześnie okazuje się, iż słynny w całym cywilizowanym świecie karnawał wenecki był li tylko mistyfikacją, starannie wyreżyserowanym (więc pewnie i ocenianym) spektaklem, którego scenariusz przygotowany został zgodnie ze wskazówkami odpowiednich władz. Taki „karnawał” nie ma nic wspólnego ani ze spontanicznością, ani z autentyczną zabawą – jest w rzeczywistości zupełnym zaprzeczeniem święta<sup>9</sup>. Karnawał subsydiowany przez policję – brzmi to doprawdy groteskowo, jednak wszyscy, nawet zdając sobie sprawę z tej dwuznacznej sytuacji, uczestniczą w nim bez zastrzeżeń.

Sprawa lorda Singelworth swoją rangę uzyskała także przez związek z tą fałszywą uroczystością:

Nie szło [...] już o same rozstrzygnięcie węzła wątpliwości dotyczące obyczajów oryginalnego jednego Anglika, ale szło o rzecz wenecką, i niecodzienną, czyli: pod czym nazwiskiem w dzień narodowej Regaty świętego Marka zajaśnieje na Kanale Wielkim świetna złocista nawa?... (s. 155).

Ostatecznie spór o tajemnicę Anglika jest sporem o prymat w okresie karnawału, a raczej gigantycznego archeologicznego śmietnika, sama sprawa jest tylko pretekstem. Zamiast niej mogłoby pojawić się zupełnie inne zagadnienie, chociażby kwestia dwugłowego cielęcia przemawiającego ludzkim głosem. Z perspektywy karnawału problem ten staje się nic nie znaczącym epizodem, należącym do przeszłości:

Raz tylko kilka znacznych grup obróciło spojrzenia swoje ku górze, gdzie wzniesionymi wiośły gondolierowie pokazywali maleńki i mdły punkcik, znikający w przestworzu...  
Był to balon lorda Singelworth (s. 161).

Powiedzieć można, że przywrócona została właściwa hierarchia wartości, balon zaś znalazł się tam, gdzie powinien. Wszelako czyż także i w tym fakcie nie należy dostrzec działalności „roztropnej austriackiej policji”? Tego problemu narrator już nie porusza.

Tytułowa „tajemnica” została zdegradowana do rangi „maleńkiego i mdłego punkcika”. Nie wiadomo w dalszym ciągu, czy lord zabierał ze sobą na podnie-

<sup>9</sup> „Karnawał” rozumiem tu za M. Bachtinem jako czas, w którym następuje spontaniczne naruszenie wszystkich norm oficjalnych – por. M. B a c h t i n. *Twórczość Franciszka Rabelais'go a kultura ludowa średniowiecza i renesansu*. Przekład A. i A. Goreniewie. Opracowanie, wstęp, komentarze i weryfikacja przekładu S. Balbus. Kraków 1975 passim.

bne wyprawy cenną etruską wazę czy porcelanowy nocnik. Nie wyjaśniony zostaje status tajemniczego papierka upuszczonego zapewne z balonu. Natomiast czytelnik zyskuje sposobność zapoznania się z nader mglistym i niekonsekwentnym wykładem o „czystości”, któremu jednego tylko nie można zarzucić – mianowicie braku wzniosłości:

Nieczystość... – rzekł Lord pół-głosem i jakoby pochylając się od ucha do ucha jednym i drugim – ...nieczystość jest to niskość!... Jest to niskość!... – powtórzył głośnie. Jakoż, gdyby taż sama starożytna dama z taż samą i nie mniej pełną urną znajdowała się ze mną na wysokości, do której zwykł mój dobiegać balon, mogłaby wypróżnić naczynie swoje bez obawy najmniejszej, bo tam nieczystości wcale nie ma!... Tam ciągły porządek jest i pełni się, w ustawach sił, warunków atmosfery założonym będąc.

[...]

Jednym słowem: za wysoko ja się podnoszę, ażeby dotyczyła mię nieczystość!... Co ci się podoba stamtąd rzucić, a potem o safirowej nocy letniej patrz na spadający aerolit... jakże on jest pięknym!...

Czystość zależy na podniesieniu się stosownym – nieczystością zaś jest пониżenie się... lub kogo... Czystość, która musiałaby degradować ludzi, ażeby siebie utrzymać, byłaby bez-plamną?

Ażeby przeto całego swojego o niej pojęcia dochować, wznoszę się; tudzież, ażeby protest mój nie był tylko czczymi wyrazami, lecz ażeby nosił pieczęć dopełnienia czegośkolwiek w kierunku tej prawdy (s. 160).

Lord prezentuje siebie jako proroka i męczennika nowej prawdy, która – ażeby została zrealizowana – wymaga zapakowania całej ludzkości do balonów. Wówczas wszyscy staliby się równi i... „czyści”. Ale czy aby lord nie zakpił sobie z prześwietnej deputacji? Jeżeli nie był lordem, mógł sobie na to pozwolić – nie obowiązywał go wówczas szacunek wobec rytuału zakładu, jeżeli zaś nim był, to... tym bardziej, chociażby po to, by zmanifestować w ten sposób swą wyższość nad światem plotek i pomówień – byłby to istotnie gest na miarę angielskiego arystokraty.

*Tajemnica lorda Singelworth* nie ujawnia bezpośrednio żadnej tajemnicy, wręcz przeciwnie: staje się źródłem kolejnych wątpliwości i podejrzeń. Nie tylko ze względu na miejsce, gdzie rozgrywają się wypadki, sprzyjające – zgodnie z wolą „roztropnej austriackiej policji” – snuciu rozmaitych przypuszczeń i fantastycznych hipotez dotyczących białej karty papieru. Nie musi to być koniecznie Wenecja, nie musi to być koniecznie balon. Atoli ten tak ulotny obiekt, który przez czas pewien zaważył na życiu umysłowym całego cywilizowanego świata, posiada szczególne właściwości. Jego wznoszenie się można uzyskać przez wyrzucenie balastu, natomiast obniżaniu służy bądź to odcięcie dopływu ciepła do powietrza zgromadzonego w powłoce, bądź to wypuszczenie przez służącą po temu klapę pewnej ilości gazu. Otóż *Tajemnica lorda Singelworth* ujawnia funkcjonowanie tego mechanizmu w życiu społecznym.

## 4. KRZYŻ NA BALON ZAMIENIONY

Powróćmy raz jeszcze do kwestii wątpliwości co do pochodzenia lorda Singelworth, bynajmniej nie po to, by gromadzić argumenty za i przeciw. Rzecz w tym, iż nazwisko bohatera jest nazwiskiem z n a c z ą c y m; „singelworth” to zestawienie dwu wyrazów: „singel” (ang. single, łac. singulus) – ‘o s o b n y’ lub ‘p o j e d y n c z y’, oraz “worth” (ang.) – ‘w a r t o ś ć’. Może zatem być ono rozumiane jako antonim zwrotu „wartość powszechna” czy „wartość uniwersalna”. Tę egzegezę (mimo ewentualnej analogii z nazwiskiem Wordsworth) całkowicie potwierdza sama opowieść – jest to wszak historia krótkotrwałego panowania w świadomości powszechnej p o j e d y n c z e g o zjawiska, rychło zastąpionego przez inne; liczyć tu należy na kolejne, równie frapujące fakty i... da capo ad libitum, a raczej ad nauseam. Jeden Singelworth zastąpiony zostanie przez innych, równie tajemniczych dżentelmenów o nie mniej tajemniczych gustach. Pojawi się szansa skreślenia kolejnych „ulotnych nowel”, zapewniony zostanie spokój policji, zajęcie znajdą natomiast „improvizatorowie publiczni”, wzbogaci się służba hotelowa, w oczach opinii publicznej będzie mógł nobilitować się kolejny przemyślny obserwator. Zaiste, przerażającą tajemnicę ujawnia ten tekst – tajemnicę egzystencji społeczeństw, które pozbyły się „zbytecznego balastu” stałych wartości. Rozbieżne są próby wyjaśnienia „tajemnicy”, dlatego że każdy znalazł w niej odpowiedź na to pytanie, jakie był w stanie postawić; inaczej mówiąc: każdy znalazł to, czego szukał.

W *Myślach* Pascala, w dziale, który otwiera formuła: „Nędza człowieka bez Boga”, znajduje się następująca uwaga:

Dzieci przerażają się twarzy, którą sobie same umazały, bo są dzieci; ale jak to, co jest tak słabe będąc dzieckiem, może być mocne, podrośszy? Zmieniamy jedynie urojenia; wszystko, co się stopniowo doskonalą, podupada też stopniowo, co było słabe, nie może nigdy być bardzo silne. Darmo mówić: *urósł, odmienił się*; zawsze jest ten sam<sup>10</sup>.

*Tajemnica lorda Singelworth* potwierdza częściowo tę niezbyt optymistyczną opinię o ludzkiej kondycji, jest bowiem opowieścią o umysłach zniewolonych przez rozmaite urojenia. Atoli dostrzec tu należy istotne różnice. Przede wszystkim tekst Norwida nie posiada charakteru uniwersalnego, ukazuje tylko sytuację, do jakiej doprowadzili się sami ludzie, akceptując stan nieświadomości. Następnie, jeżeli Pascal mówił o naturalnej słabości, to u Norwida mamy do czynienia ze zbrodnią, z grzechem przeciwko Duchowi Świętemu. Inaczej bowiem nie można określić b a ł w o c h w a l s t w a, które zostało tu zaprezentowane. W dodatku przedmiot fałszywego kultu zmienia się nieomal z dnia na dzień

<sup>10</sup> B. Pascal. *Myśli*. W: tenże. *Myśli oraz Rozprawa o namiętnościach miłości, Rozprawa o kondycji możnych, Modlitwa o dobry użytek chorób*. Przełożył T. Żeleński (Boy). Wstęp napisała S. Skwarczyńska. Warszawa 1952 s. 51.

bez najmniejszej próby refleksji. W tym świecie nawet o „o-błędym” rozumieniu czystości godzi się rozprawiać w kategoriach patetycznych jako o przepowiedni nowej epoki w dziejach ludzkości, epoki powszechnej „puryfikacji” (jak gdyby „niemyte dusze” doprowadzało się do schłodności przez stosowne podniesienie balonem ciała). Ostatnie wystąpienie Toniego di Bona Grazia nosi wszelkie znamiona bluźnierstwa. Uświadomić sobie należy fakt elementarny: przedstawione wypadki miały miejsce w XIX stuleciu, a więc nieomal w dwa tysiące lat po śmierci Chrystusa, otwierającej nową epokę w dziejach ludzkości. Wszelako okazuje się, iż ewangelie nie są w stanie sprostać atrakcyjności plotek, sensacyjnych wiadomości, „ulotnych *nowel*” (etymologicznie rzecz rozpatrując zwrot ten oznacza „ulotne nowiny”, a nawet „nowinki” – taka wykładnia bynajmniej nie jest nadużyciem interpretacyjnym, wypadki przecież rozgrywają się w Wenecji). Lord Singelworth, obwoząc się z balonem i w balonie, zyskał popularność w całym cywilizowanym świecie. Ten cud techniki – w odróżnieniu od krzyża – gwarantuje poza niewielkim ryzykiem bezbolesne i wielokrotne wynoszenie się nad innych. Stwierdzić zatem można, że każda epoka ma takie ewangelie, na jakie zasługuje. Aliści jest to znacznym uproszczeniem.

*Tajemnica lorda Singelworth* nie jest nieudaną opowieścią sensacyjną z życia wyższych sfer. Nie jest także fragmentem wspomnień człowieka z towarzystwa ani tym bardziej nowelą demaskującą pikantne szczegóły i kulisy rozrywek arystokracji. Norwid posłużył się chwytami charakterystycznymi dla tego typu literatury, zyskującej coraz większą poczytność w 2. poł. XIX w., a przekształcającej się w „romanse dla kucharek”, opowieści o dżentelmenach włamywaczach czy w powieści pornograficzne. Środki służące zainteresowaniu czytelnika (choćby przez stworzenie pozorów uczestnictwa w życiu arystokracji w roli obserwatora) zostały tu zdemaskowane: opowieść o sensacji sprzed kilku zaledwie lat wzbudzić może zaledwie pobłażanie, zupełnie absurdalną czynnością okazuje się wnikliwa egzegeza skrawka papieru. Sensacje ulegają dewaluacji z dnia na dzień, wczorajsze bóstwa – o ile nie zostały zapomniane – zasługują już tylko na litość. Takie reguły życia społecznego ujawnia Norwidowska parabola o tajemnicy lorda Singelworth.

##### 5. „WIESZ, KTO JEST WIELKIM?...”

W rozprawie pt. *Milczenie* zamieszczona została szczególna charakterystyka tak doskonale znanego obiektu jak znak reklamowy:

Czytelnictwo opieszale bywa nagłonym napisami wykrzyknikowymi na rogach ulic: „Czytajcie to a to!!!”, przy czym rodzaj ręki, z palcem wskazującym ów nakaz, w rysunku kolosalnym... rodzaj pięści ściśniętej... „Czytajcież!! ten albo ów nowy romans!”<sup>11</sup>

<sup>11</sup> PWSz 6, 229.

Uważne przyjrzenie się zjawiskom życia codziennego pozwala na ujawnienie występujących tam, pozornie niewinnych, świadectw terroru. W takiej sytuacji żyją także bohaterowie *Tajemnicy lorda Singelworth*. A nie chodzi tu w żadnym wypadku o przemoc fizyczną, lecz o zniewolenie władzy sądownia.

Jeżeli symbol jest gwarancją życia społecznego jako znak łączności ze światem wartości uniwersalnych, to trzeba stwierdzić, że bohaterowie tej powieści – dobrowolnie – obcuja z nader nikczemnym systemem wartości, akceptują bez zastrzeżeń proces degradacji myśli, sami – z pełną świadomością – w nim uczestniczą. Problem degradacji wartości nieustannie przewijał się w wypowiedziach krytyków kultury masowej i różnych form dyktatury; pisali o nim m.in.: Thomas Carlyle, Stanisław Brzozowski, José Ortega y Gasset, Nikołaj Bierdiajew, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Bolesław Miciński, Aldous Huxley, George Orwell, Karl Mannheim, Jerzy Stempowski, Aleksander Zinowiew czy Aleksander Sołżenicyn. W tym nurcie refleksji europejskiej mieści się także *Tajemnica lorda Singelworth*. Wiele z oskarżeń „głupiego społeczeństwa polskiego” lub „Europy – starej wariacji” ma bez wątpienia swe źródło w częściowym braku rozeznania Norwida w ówczesnym życiu umysłowym. Wiele też nosi na sobie wyraźne piętno osobistego zawodu – wśród tekstów autora *Quidama* odnaleźć można niemalą liczbę patetycznych jeremiad zapoznanego przez swoich i obcych proroka, sięgających szczytów pychy i pretensjonalności. Atoli jego teksty, a wśród nich i wenecka parabola, były też cennymi uwagami w toczącym się ówczesnie dialogu o kształcie niepodległości (różnie rozumianej), uwagami wywodzącymi się z refleksji chrześcijańskiej, bliskimi koncepcjom personalistycznym.

*Tajemnica lorda Singelworth* pozostała – jak wiele innych tekstów Norwida – w rękopisie. Czy opublikowana za życia autora mogła liczyć na właściwą interpretację – śmiem wątpić, i to przede wszystkim ze względu na poetykę tego utworu. Wymagała bowiem zerwania z powszechnie akceptowanym systemem wartości, podważenia pozornie naturalnych mechanizmów społecznych. Tak tylko uczestniczyć można było w procesie krytycznej analizy własnej rzeczywistości, surowej weryfikacji aprobowanych w całym cywilizowanym świecie rytuałów i symboli. Czyli – wedle Norwida – w koniecznym procesie przywrócenia właściwego miejsca ewangeliom i tajemnicy krzyża. W innym wypadku ludzkość zatraci ostatecznie zdolność odróżniania porcelanowego nocnika od wazy etruskiej. W innym wypadku grozi nieuchronnie bezczelne panoszenie się uzurpatorów, głoszących kult fałszywych wielkości. Deifikacja konia wyścigowego czy znakomitego dżokeja to nader niewinne przejawy tego zjawiska.

Kunsztowna struktura *Tajemnicy lorda Singelworth* świadczy dobitnie o tym, że w przekonaniu jej autora ocalenie autentycznych wartości było jeszcze możliwe. A to znaczy, że pod koniec swego życia Norwid w dalszym ciągu wierzył w szansę wybicia się Polaków na niepodległość dzięki wysiłkowi w

sferze myśli. Myśl zaś właśnie bywa okaleczana dotkliwiej przez subtelny system zniewolenia niżli ciało ranione kajdanami lub knutem. Różne są formy zniewolenia, atoli najstraszliwsza jest chyba ta, która sprawia, że niewolnik

[...] tak się wdroy  
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,  
Że w końcu gotów kasać – rękę, co ją targa<sup>12</sup>.

Pamiętamy przecież, że fascynacja balonem zapewne nie bez pobudek była uwzględniana przez „roztropną austriacką policję”, zapewne także i przez inne policje.

Piękna sentencja Paula Ricoeura powiada, iż „symbol daje do myślenia”; to zaś znaczy, że pierwszym etapem uczestniczenia w życiu ludzkości jest surowa krytyka autentyczności symboli i znaków, które napotkać można w życiu codziennym. Tylko taka postawa może ocalić przed kondycją niewolnika mniej czy bardziej roztropanych i tolerancyjnych dyktatur, despotyzmów, tyranii. A coraz łatwiej przychodzi popaść w grzech bałwochwalstwa. *Tajemnica lorda Singelworth* nie jest tylko pozycją cenną dla historyka literatury jako ogniwo rozwoju prozy polskiej. Nie jest także tylko pozycją z dziejów myśli polskiej, pozostającą przez długi czas w t r a n i u t a j o n y m, istniejącą niejako na marginesie publicznych dyskusji i sporów. W dalszym ciągu „daje do myślenia”, zmuszając do analizy myśli wychodzącej od różnych symboli, kształtującej wartości, dyktującej konwencje. Jest ostrzeżeniem przed wielkościami małymi, nikczemnymi, prowadzącymi w efekcie do zaniku poczucia wielkości. Jest ostrzeżeniem przed aprobatą pozorów i fałszu. Kultura masowa, a przede wszystkim rozmaite mniej lub bardziej brutalne formy zniewolenia, jest także wyznacznikiem naszych czasów. „Wenecja” może być wszędzie...

Marzec–13 kwietnia 1985

<sup>12</sup> A. Mickiewicz. *Dziadów część III. Ustęp. Do przyjaciół Moskali*, cytowane według: A. Mickiewicz. *Dzieła*. Wydanie narodowe. T. 3: *Utwory dramatyczne*. W opracowaniu S. Pigonia. [Warszawa] 1949 s. 306.